

Post scriptum

Od napisania tej książki minęło 26 lat, szmat czasu, ponad ćwierć wieku. Czy książka aby się nie zdezaktualizowała? Przetrwała próbę czasu? Jeżeli tak, to w jakich momentach. Co przez ten czas zmieniło się w polskich mediach, jacy ludzie stanęli na wysokości zadania, a jacy przeszli niezrozumiałą ewolucję, która zaprzeczyła ich dawnej drodze? Co dalej z mediami w Polsce?

Ogólne uwagi na temat fatalnej kondycji dziennikarstwa polskiego zaprezentowane w książce są moim zdaniem nadal aktualne, a niekiedy nawet rzeczywistość rysuje się w jeszcze gorszym świetle.

W warunkach wolności słowa każdy może mówić co chce, ale przecież nie wszystko, co zostanie powiedziane, jest prawdą. Człowiek jest wolny także dlatego, że może mówić nieprawdę. To kwestia wychowania, sumienia i odpowiedzialności, a te wartości we współczesnym świecie są coraz bardziej deficytowe.

Książka "Byłem dziennikarzem" otrzymała taki, a nie inny tytuł, gdyż zrezygnowałem wówczas z pracy w Radiokomitecie, wielkim koncernie medialnym zarządzanym przez komunistów, a potem przez ludzi wciąż powiązanych mentalnie z istniejącym przed 1989 roku systemem.

Była to rezygnacja z pracy dziennikarskiej w scentralizowanej, ciągle komunistycznej, a z biegiem lat, w postkomunistycznej, niereformowalnej instytucji. A przecież wolność mediów to gwarancja wolności obywatelskich, możliwość obiektywnego poznania i zrozumienia otaczającego nas świata.

Jaka jest obecnie kondycja polskich mediów? Mogę dziś stwierdzić, że po zmianie władzy w Polsce w 2015 roku, kiedy zwyciężyła zjednoczona prawica pod kierunkiem Prawa i Sprawiedliwości, pojawiła się pierwsza poważna szansa na rzeczywistą zmianę oblicza mediów, ale tylko tych, które pozostały spółkami skarbu państwa, bo media prywatne, pełnią najczęściej rolę antypaństwowych ośrodków propagandy. Dlatego media publiczne, wierne dziennikarskiemu powołaniu poszukiwania prawdy, mają dziś szczególne zadanie do spełnienia. Muszą odkłamać zawłaszczoną przez postkomunę i pseudoliberalów przestrzeń publiczną, zapewnić społeczeństwu prawdziwy pluralizm poglądów. Jeszcze nie tak dawno wszystkie media w Polsce, publiczne i prywatne, ukazywały ten sam zakłamany obraz Polski.

Pisałem nawet o jakiejś "drugiej ulicy Mysiej", gdzie do 1990 roku istniał urząd kontroli prasy, publikacji i widowisk, czyli cenzura. Ostatnie zmiany polityczne w państwie pozwoliły zatrzymać zafałszowany opis rzeczywistości i ukazać prawdę o tych rządach III RP, w których dominował postkomunizm i złodziejsko pojmowany liberalizm.

Od 1989 roku kraj został skolonizowany przez bogaty Zachód. Zlikwidowano przemysł i gospodarkę, bieda wypchnęła ludzi z Polski w świat w poszukiwaniu godnej pracy i płacy. Równocześnie kapitał zachodni, głównie niemiecki, zawładnął polskimi mediami, prasą centralną, regionalną, lokalną, kolorową, głównymi stacjami radiowymi i jedną ogólnopolską telewizją. Media te nie są zainteresowane polską racją stanu, a więc pozytywnym rozwojem Polski, a jedna ze stacji, z kapitałem amerykańskim (TVN), wprost manifestuje swój antypolski charakter. Dlatego ideę mediów publicznych, dziś zwanych narodowymi, według mojej koncepcji, bardzo idealistycznej, trzeba na jakiś czas, nie wiadomo na jak długo, odłożyć do lamusa. Niepodległa Polska, aby przetrwać, musi mieć własne media, a więc dziś media narodowe, czyli publiczne spółki telewizyjne i radiowe, pozostające pod rządową kontrolą. Co nie znaczy, że pracujący w nich dziennikarze mają być ograniczeni w prawie do wolności słowa i sumienia. Jak widać mogą się w nich swobodnie rozwijać w stopniu zdecydowanie większym niż dotychczas, a jak komuś to nie odpowiada, może odejść z zawodu, jak ja odszedłem w 1991 roku. Najważniejsze, aby media narodowe, publiczne były akceptowane przez społeczeństwo, co najmniej w takim stopniu, w jakim jest akceptowany rząd. Wybory zdecydują, kto będzie rządził w Polsce, a tym samym, kto będzie kierował mediami. To dlatego uchwalono ważną ustawę o mediach narodowych, bo na nich spoczywa dziś największy obowiązek. Tylko one mogą zadbać o polską rację stanu, o rozwój i dobrobyt.

Polskę czeka nie tyle repolonizacja mediów, bo jesteśmy w Unii Europejskiej, gdzie zagwarantowany jest swobodny przepływ kapitału, ale deregulacja mediów, taka jaka istnieje w innych krajach Unii Europejskiej. Nie ma żadnej angielskiej stacji telewizyjnej czy radiowej w Niemczech, nie ma żadnej obcej prasy w Niemczech, podobnie jest we Francji. Deregulacja ma doprowadzić do takiej konfiguracji mediów jaka jest charakterystyczna dla krajów UE.

A jednak, wbrew zapowiedzi sprzed 28 lat, nie zrezygnowałem całkowicie z dziennikarstwa, poświęcając się głównie tworzeniu nowych warunków do jego godnego uprawiania. Rozpoczął się dla mnie nowy, ekscytujący etap życia, tworzenie własnej rozgłośni radiowej - Radia WAWa. Pomogło mi w tym także doświadczenie, jakie zdobyłem w USA, pracując w małej polonijnej chicagowskiej stacji radiowej. Własne radio zajęło mi równe 13 lat, do 2002 roku. Choć radio to istnieje do dziś pod tą samą nazwą, mnie jednak w nim nie ma. Ale to opowieść na inną książkę, w której pojawią się nazwiska ludzi wspaniałych i podłych. Oczywiście tych ostatnich było zdecydowanie mniej.

Książka, której wydanie postanowiłem wznowić, ma dziś pewien walor historyczny, rzecz jasna w dużej części odnoszący się do warszawskiego środowiska dziennikarskiego. I prawdą jest, jak pisał w pierwszym wydaniu wydawca, że nie musiałem się jej wstydić, ale..., bo zawsze jest jakieś "ale".

Książka ta, czego można się było spodziewać, została przemilczana w mediach. Dopiero po latach dotarła do mnie wiadomość, że najprawdopodobniej z powodu wykupienia większości nakładu (35 tysięcy egzemplarzy) przez "nieznanych sprawców", po to, aby nie dotarła ona do opinii publicznej. Być może obawiano się, że będzie na tyle demaskatorska, że może niektórym jej "bohaterom" zaszkodzić. Nie taki jednak był mój zamysł. Tym nie mniej warto dziś skupić się na kilku postaciach wymienionych w książce, co ułatwia zamieszczony w tym wydaniu indeks osobowy, a jest on, jak na objętość książki, dość pokaźny, gdyż zawiera prawie 420 nazwisk. Wiele wymienionych w książce postaci oceniłem tak, jak na to wówczas w mojej opinii zasługiwały, ale czas jest najlepszym weryfikatorem prawdy. Największym rozczarowaniem okazała się postać Lecha Wałęsy, a z dziennikarzy, ten, z którym miałem okazję pracować w Wiadomościach TVP - Tomasz Lis. Ale najpierw o Wałęsie.

Przez prawie ćwierć wieku trwa, i nie kończy się, walka tego człowieka z prawdą, która dopadła go dzięki wolnej Polsce, wydobywającej się z komunistycznej opresji, czemu rzeczywiście także poświęcił lata swojego życia. To były te chlubne lata, ale przecież były i haniebne, gdyż od 1970 do 1976 roku Wałęsa z pewnością służył komunie, bo są na to niezaprzeczalne dowody. Udział Lecha Wałęsy w obaleniu pierwszego niekomunistycznego rządu Jana Olszewskiego, 4 czerwca 1992 roku, nie

pozostawia złudzeń. To wtedy nieżyjący już Kazimierz Świtoń, działacz Wolnych Związków Zawodowych Górnego Śląska, poseł na sejm I kadencji, ujawnił, że na liście agentów SB znajduje się nazwisko Lecha Wałęsy. Od tego czasu trwa zapieranie się prawdy przez Lecha Wałęsę (TW Bolek), a jego wypowiedzi publiczne nie różnią się dziś od wypowiedzi dawnych komunistów, wypowiadających się o Polakach z agresją i pogardą. Trudny to przypadek, ale nie jedyny, tym niemniej jest mi niezwykle przykro, że jako dziennikarz prowadzący kampanię prezydencką Lecha Wałęsy w 1990 roku dałem się naiwnie wykorzystać, za co wypada przeprosić wszystkich tych, choć nie było ich wielu, przekonanych wówczas, że Wałęsa to mroczna postać naszych współczesnych czasów. No cóż, na Wałęsę głosował wtedy także Adam Michnik, bo chyba nie było wyboru.

Nie było wyboru, gdyż z tamtymi wydarzeniami wiąże się inna intrygująca postać, Stanisława Tymińskiego.

Jak wiadomo, w drugiej turze wyborów prezydenckich w 1990 roku mógł zagrozić Wałęsie i zostać prezydentem RP. Już wtedy nasz sztab wyborczy Lecha Wałęsy był przekonany, że Tymiński to z pewnością agent. Po przegranej zniknął tak samo tajemniczo, jak się pojawił.

Po latach ukazała się książka Zygmunta Marii Przetakiewicza jr., pod znamienym tytułem "Spowiedź grzesznika". Autor rzeczywiście miał się z czego spowiadać jako przedstawiciel szemranych firm zagranicznych rozgrabiających Polskę w czasie tzw. transformacji systemu. Miał też swój udział, jako producent programu telewizyjnego "Polish studio" w Toronto, w ujawnieniu kompromitujących faktów z życia prywatnego Stana Tymińskiego. Interesy, czyli kontrakt na zakup złomu pozostawionego przez wojska sowieckie w Polsce sprowadziły Przetakiewicza do rosyjskiej ambasady w Warszawie. Już dobijał umowy z rosyjskim generałem, kiedy ten zapytał go, czy nie zechciałby spotkać się ze Stanem. Zaskoczony odmówił, ale idąc korytarzem, zobaczył zza uchylonych drzwi postać Stanisława Tymińskiego. Jest to do dziś jedyny ślad wskazujący na to, że mieliśmy rację, podejrzewając Tymińskiego, kandydata na prezydenta Polski, o agenturalne powiązania z Moskwą. O ile oczywiście wspomnienia "grzesznika" Przetakiewicza są szczere i pełne skruchy. Nie ukrywam, że szokiem było dla mnie ujawnienie dokumentacji na temat Piotra Mroczyka, z którym przegrałem pierwsze wybory na przewodniczącego Komisji NSZZ

Solidarność w Radiokomitecie, a który wkrótce został wybrany wiceprzewodniczącym Krajowej Komisji Koordynacyjnej Pracowników Radia i Telewizji. Pisałem o nim przez lata bardzo pozytywnie, czego potwierdzeniem mogła być późniejsza działalność Piotra Mroczyka w USA, jako pracownika "Głosu Ameryki", właściciela najstarszej gazety polskojęzycznej wydawanej w Ameryce, tygodnika "Gwiazda Polarna", organizatora Fundacji Solidarności w Waszyngtonie, dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium. Jego zaangażowanie zostało docenione przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który odznaczył go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski "za wybitne zasługi na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za zaangażowanie w walkę o wolność słowa i wolne media". Order odebrał 10 grudnia 2007 roku na tydzień przed swoją śmiercią. Wkrótce okazało się, że od 1972 roku był tajnym współpracownikiem SB o kryptonimie "69", bardzo pracowitym i cenionym przez komunistyczne służby. I co jest jeszcze bardziej szokujące, jego ojciec, były oficer RAF-u, zastępca dowódcy dywizjonu 313, uczestniczącego w Bitwie o Anglię, także okazał się tajnym współpracownikiem UB/SB o kryptonimie „Robert”, przyjętym na komunistyczną służbę w 1949 roku.

Te dwa opisane przez mnie przykłady są dobitnym świadectwem, jak trudne jest dochodzenie do prawdy o przeszłości ludzi w kraju totalitarnym, do jakiego zaliczała się jeszcze nie tak dawno Polska. I nie bądźmy naiwni, ci głęboko zakonspirowani w komunistyczną działalność ludzie, cały czas szkodzili Polsce, tym więcej, im większą tworzyli wokół siebie pozytywną legendę, im większe osiągnęli wpływy w III RP. Kolejnym rozczarowaniem okazała się postać Stefana Bratkowskiego, do dziś jeszcze honorowego członka SDP. Nikt nie odbiera mu zasług z czasów delegacji SDP w stanie wojennym, ale jak można ocenić jego wypowiedź "o faszystach" w kontekście nowych władz SDP, jakie wyłoniły się w wyborach w 2012 roku. Znalazłem się w ich , a prezesem ZG SDP został Krzysztof Skowroński, o 16 lat ode mnie młodszy. Podobnych rozczarowań nieubłagany czas dostarczał więcej. Środowisko ludzi "Solidarności" w Radiokomitecie nie okazało się monolitem takim, jakim je wtedy widziałem i opisałem w książce. Wiele z tych osób wspierało później partię z gruntu antypolskie i co charakterystyczne reprezentowało poglądy niekiedy skrajnie lewicowe.

Mój antagonistą, wymieniany w książce wielokrotnie, Sławomir Zieliński, człowiek oddany komunistycznej partii, był funkcjonariusz WSW, jeszcze do 2016 roku pozostawał ważnym dyrektorem programowym TVP.

Wielki aktor, Jerzy Zelnik, który w Warszawie na promocji książki "Byłem dziennikarzem" odczytywał fragmenty mojej rozmowy z radiowym ubekiem, także okazał się byłym tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie "Jaracz".

Zobowiązanie do trwającej jedynie dwa lata współpracy podpisał w 1964 roku. Gdy sprawa wyszła na jaw, zwrócił się do osób, które mógł ewentualnie skrzywdzić, o wybaczenie. Jestem przekonany, że prostolinijność i naiwność młodego wtedy Zelnika, nikomu nie wyrządziła krzywdy, a późniejsze lata dowiodły, jak patriotyczną postawą wykazał się Jerzy Zelnik.

Osobnego komentarza wymaga opisane w książce spotkanie generała Wojciecha Jaruzelskiego z młodzieżą w studiu Teleexpressu, zatytułowane "Szczerość za szczerość". Nie było ono transmitowane, a szczegóły montażu długo uzgadniano na wysokich partyjnych szczeblach. Żadne zatem krytyczne pytanie do generała nie miało prawa się ukazać, a to, które zadałem i tak zostało źle przez niego zinterpretowane. Od tego czasu minęło 30 lat i przez cały ten czas środowiska postkomunistyczne, na czele z Gazetą Wyborczą, wywlekały mi to spotkanie jako przykład mojej kolaboracji z reżimem. Miałem ponoć przerywać głosy krytyczne wobec generała, umizgiwać się do niego, co jest nieprawdą, nagranie jest w zasobach archiwalnych TVP, można sprawdzić, jednym słowem w ich oczach byłem karierowiczem, reżimowym dziennikarzem. Jak pisałem, to Wojciech Jaruzelski zdecydował o spotkaniu z młodzieżą w budynku telewizji, tuż przed słynnym referendum, którego pytania zapamiętałem najkrócej jak można było: "czy chcesz chleba i demokracji". Chodziło wyłącznie o efekt propagandowy, o to, aby usiąść obok Bogu ducha winnej młodzieży, jako "dobry ojciec narodu" i zyskać jakiś poklask. Wskutek tych konsekwentnych, trwających latami ataków na moją osobę, byłem chyba jedynym dziennikarzem, dzięki któremu postać Jaruzelskiego, chcąc nie chcąc, ukazywana była przez to środowisko bardzo dwuznacznie. Wiedzano, że większość społeczeństwa nie lubi generała, zatem atakując mnie za udział w spotkaniu, chciano przede wszystkim mi "dołożyć", bo przecież nie generałowi, bronionemu przez Michnika et consortes do ostatnich jego dni życia. To typowa dla środowiska Gazety

Wyborczej schizofrenia, przejawiająca się w podwójnych moralnych standardach, innych dla swoich, innych dla wrogów, a za takiego uchodziłem, kierując prywatnym prawniczym radiem. Niekiedy reagowałem na te ataki odpowiadając - zdecydujcie się, potępiacie czy wspieracie Jaruzelskiego, skoro moja osoba w powiązaniu z nim jest aż tak skompromitowana.

I to chyba już ostatni moment, aby można było oficjalnie o Jaruzelskim pisać "generał". Wchodzi w życie ustawa, tzw. degradacyjna, po której Jaruzelski traci tytuł generalski, stanie się po prostu Jaruzelskim. Nie ukarany za życia, dopiero po śmierci, doczekał się zasłużonej anatemy.

Na zakończenie kilka miłych słów o osobach, z którymi pracowałem po napisaniu tej książki.

Pomocną dłoń wyciągnął do mnie Marian Terlecki, przedwcześnie zmarły, były opozycjonista z Gdańska, autor ciekawych, a kompletnie nieznanych wspomnień z internowania w stanie wojennym. Nie miał łatwego życia. Ubecja tak długo go śledziła, aż dopadła na jeździe "po spożyciu". Stracił stanowisko prezesa Radiokomiteu i o to chodziło, gdyż miał poglądy polskie i niepodległościowe. Potem kierował Telewizją Plus, gdzie miałem swój program informacyjny.

Odszedł wspinały muzyk Zbigniew Wodecki, którego ciepło wspominam w książce jako dobrego kolegę.

Odszedł Wiesław Wiernicki, mój najbliższy przyjaciel, któremu pomagałem w wydaniu kilku książek wspomnieniowych o dawnej Warszawie.

Także Bohdan Tomaszewski, z którym pod koniec jego życia prowadziłem długie rozmowy, ale w końcu nie dał się namówić na radiową "spowiedź życia", być może dlatego, że na pewno zapytałbym go o trudne epizody w jego życiorysie, chociaż zawsze będę go uważał za wielkiego patriotę, a przede wszystkim za najlepszego, genialnego wręcz sportowego komentatora.

I chciałoby się wspomnieć jeszcze wiele innych pięknych postaci utrwalonych w książce, tych, którzy odeszli już z tego świata. Zakończenie niech będzie jednak inne.

Na wstępie przywołałem nazwisko Tomasza Lisa. Przez pewien czas pracowałem z nim w telewizji. Młody, zdolny, obiecujący, szczególnie doceniany, także finansowo, przez ówczesne kierownictwo. Kto by przypuszczał, że młody człowiek wchodzący w

dorośle zawodowe życie okaże się wkrótce tak zapiekłym przeciwnikiem demokratycznych, wolnościowych zmian w Polsce?! Jak to możliwe, że rzeczywistość, w której żyjemy, będzie przez niego postrzegana tak skrajnie odmiennie od tej, jaką ja odbieram i olbrzymia większość Polaków. Odmiennie też od znacznie młodszych od niego studentów WSKSiM, toruńskiej uczelni założonej przez ojca Tadeusza Rydzyka, przyszłych adeptów dziennikarstwa, których miałem okazję uczyć przez 14 lat. Przecież nie wchodziła w grę skrywana mroczna przeszłość esbecka i uwikłanie się w komunę, Lis był na to za młody.

Ponieważ Tomasz Lis należy do najbardziej znanych i wpływowych dziennikarzy polskich, jest redaktorem niemieckiej edycji amerykańskiego tygodnika Newsweek, jego osoba budzi szczególne zainteresowanie.

Pewne wyjaśnienie może dać tryptyk napisany przez dziennikarzy Gazety Polskiej poświęcony resortowym dzieciom, w sądownictwie, mediach i dyplomacji. Okazuje się, że przysłowie o jabłku padającym niedaleko od jabłoni jest głęboko mądre. Resortowe dzieci otrzymały wychowanie zgodne z poglądami ich rodziców czy dziadków, a od własnych korzeni trudno się oderwać. Dlatego wśród wielu resortowych dzieci w mediach można zaobserwować pokoleniową kontynuację negatywnej wizji Polski o ile jest ona wolna i niepodległa. Na przykład ojciec Moniki Olejnik, pułkownik WSW, zajmował się zawodowo podsłuchiowaniem i nagrywaniem opozycji demokratycznej. Córka zajęła się dziennikarstwem i odgrywa w nim, w III RP, kluczową rolę.

Dochodzi do tego, tak przypuszczam, ten sam stosunek dzieci resortowych, jak ich rodziców i dziadków, do reszty polskiego społeczeństwa. Pełen wyższości, a niekiedy i pogardy.

"Polacy nie są tacy głupi, jak nam się wydaje, są jeszcze głupszy." Tak Tomasz Lis, pupil Jacka Snopkiewicza (o którym dużo w tej książce, a co ciekawe, mało dziś słyhać w polityce i dziennikarstwie) wypowiedział się publicznie o Polakach, w tym odbiorcach jego mediów. Dziś Tomasz Lis jest jednym z najbardziej zagorzałych przeciwników rządu, który wzorem działaczy Platformy Obywatelskiej nazywa, pisowskim rządem. Dla niego, nie jest to polski rząd, wspiera KOD, czyli anarchizującą, nihilistyczną formację przeciwników polskiej demokratycznej władzy.

Kończę uwagi na temat Tomasza Lisa konstatacją, że nie tak łatwo jest wydostać się z opresyjnego systemu, jakim była komuna i jej, w dużym stopniu kontynuatorka, czyli III RP. To długoletni proces, tym trudniejszy, że uczestniczą w nim następne pokolenia ukształtowane przez zniewolonych Polaków. Walka o wolne media, o wolną Polskę toczyć się będzie nadal.

Wojciech Reszczyński